

GRYF KASZUBSKI



PISMO DLA LUDU POMORSKIEGO

Nr. 11.

Kartuzy, w sierpniu 1932 r.

Rok I.

W odmętach zawiści.

Wśród wielu wad naszego społeczeństwa na pierwsze miejsce wysuwa się zawiść jednej dzielnicy do drugiej. A przecież każdy z nas jest synem jednej Matki-Polski, czy to Kaszuba z nad Bałtyku, czy to obywatel z byłej Kongresówki czy też, jak się często słyszy, „wybraniec narodu“ z Małopolski.

My, Kaszubi, pomni swoich bohaterskich czynów w walce o odzyskanie Niepodległości Polski, dumni być powinniśmy, że złożona w ofierze na ołtarzu polskim krew synów kaszubskich nie splamiła naszego honoru i wysiłki, czynione dla przyłączenia krwią synów kaszubskich zbroczonej ziemi do Polski, nie poszły na marne — nie padły na grunt skalisty. Przeciwnie, wydały plon stokrotny ku chwale ojczyzny i przyszłych pokoleń. Dlatego też my Kaszubi powinniśmy pierwsi kroczyć do upragnionej zgody i jedności, trzymając kurczowo w rękę gałązkę oliwną, ten symbol pokoju, to berło miłości i szacunku dla braci Polaków. Gdy to nastąpi, wówczas zwycięży rozsądny i trzeźwy duch kaszubski nad porywcznością, i triumfalnym pochodem wejdziemy w krainę braterstwa ludów, w tę, za którą nasi ojcowie wzdychali.

Warunku tego dotychczas nie spełniono. Brak miłości i zaufania, lekkomyślne traktowanie dobra sprawy w dużej mierze utrudnia zbliżenie i życie się naszego narodu. Każda z byłych dzielnic uważa siebie za owego „wybrańca“, który przodować powinien w sterowaniu lo-

dzia państwowa. Stąd ciągle narzekania na tych, których języka się nie zna dostatecznie, lub na tych, którzy przychodzą i szczycą się wyższością kulturalną, a na każdym kroku okazują swą dumę, że mówią czystym językiem polskim, a swoich współbraci Kaszubów uważają za coś pośredniego pomiędzy wrogiem a przyjacielem. Tem się tłumaczy ogólne zniechęcenie, kończące się brakiem lojalności względem równych sobie współobywateli.

Są to rzeczy może o wartości minimalnej, lecz swą złością stopniowo zatruwają myśl i życie, początkowo jednostkom, a następnie całemu ludowi. Za tem idzie brak wiary w własne siły, osłabiające żywotność ludu. Do ostateczności jednak dojść nie może, bo my Kaszubi jesteśmy jakoby murem polskim, o który w przyszłości sąsiedzi głowy rozbijać będą. Hołdujemy hasłu: „Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje“, a przekonamy się, że nikt nam z tego zarzutu nie zrobi, że będąc dziećmi wielkiej Polski, mówimy po kaszubsku, że mamy własny, lokalny sposób życia.

Doskonale pamiętamy, jak to za dawnych czasów, gdy narodowi polskiemu tchu zabrakło do dalszej egzystencji, do torowania sobie drogi wśród spisków i zdrad, zazdrości i dumy poszczególnych warstw narodu, jak zawrotnem tempem toczyło się szczęście Polski ku przepaści. To widząc inne narody, bacznie okiem śledziły nasze wstrząsy i czekały z niecierpliwością na dojrzenie upadku. Każy najmniejszy odruch niezgody, przyspieszający upadek narodu polskiego, poruszał naczulsze nerwy wrogów, czyhających jak żarłoczne sępy na swoją upatrzoną zdobycz. Samiśmy im wrota swojemi intrygami i niesnaskami otworzyli, poczem przyszli i przykuli nas do swojego jarzma, pod którego ciężarem się uginał lud Bogu ducha winien. Tak zazdrość zaprowadziła nas na tułaczkę, na niedolę...

Dziś, gdy wszystkie dzielnice spojone zostały w jedną nierozzerwalną całość i Polska niemi odдыcha jak odrodzonymi płucami, zginąć powinny owe spory, dzielące nas od siebie, a wspólna wiara w lepszą przyszłość zapewni byt nam i przyszłym naszym pokoleniom.

Więc, bracia Kaszubi! Nie zważajmy na prowokujące nas swą pychę kulturalną jednostki, przybywające

z głębi kraju do nas jako do ludu, stojącego w ich mniemaniu na ostatnim stopniu kultury! Wykażmy swoim pogodnym zachowaniem się, że jednostki te są w błędzie, że nie do wrogów przychodzą, lecz do swoich braci Kaszubów-Polaków, ściskających serdecznie ich dłoń braterską.

Jan Bilot, Kaszuba.

Jan Patock.

Dzień świętego Jana na Kaszubach.

(Dokończenie).

Pewien stary Kaszuba opowiadał mi następującą baśń o tym „korzonku“. „Żył niegdyś przed laty ubogi robotnik leśny. Wracał jak zwykle późnym wieczorem od swojej ciężkiej pracy, a miał jej jeszcze dużo w domu, gdyż posiadał krowę, którą musiał nakarmić. Tak i pewnego wieczora wszedł do obórki, lecz o dziwo! Krowy nie było. Napewno pobiegła do lasu, gdzie tyle razy żarła dobrą, świeżą trawę; teraz musi zaraz po nią pójść, bo w nocy mogłyby ją wilki pożreć. Szukając, długo chodził i błądził po lesie. Noga w bucie obtarła się i dokuczwała boleśnie, gdyż w pośpiechu włożył obuwie na bosą nogę. Usiadł więc na mchu, zdjął swą czerwoną chustkę jedwabną ze szyi, obwiązał nią bolącą nogę i ruszył w dalszą drogę. Naraz zobaczył za wielkim dębem skarb: skrzyńce z czerwonymi dukatami, opodal pod kamieniem drugą i nieco dalej dużo srebra i złota, że za to wszystko można by kupić królestwo. Poco teraz jeszcze dalej uganiać się za krową? Trza będzie przynieść łopatę i siekiere i wszystkie te skarby wydobyć! Pobiegł więc do domu, a niezadługo przybiegł zpowrotem. Zanim jednak zabrał się do roboty, chciał zdjąć buty, gdyż przez drogę nasypało mu się w nie dużo piasku. Usiadł na trawie, odwiązał z nogi czerwoną chustkę — i naraz zginęły wszystkie skarby koło niego. Gdy bowiem szukał zaginionej krowy, do buta dostał mu się niepostrzeżenie „świętojański korzeń“ i nienaruszony ukrył się w czerwonej chustce. Teraz jednak podczas zdejmowania buta wypadł i zaginął, a wraz z nim znikło tak bliskie szczęście i bogactwo. Krowę zaś pożarły wilki“.

W mej młodości znalazłem kobietę, dziś już dawno spoczywającą w grobie. Niegdyś była kwitnącem dziewczęciem z niebieskimi oczyma i długimi warkoczami, a jej beztroską młodość opromieniała jasna jutrzienka nadziei. Lecz dość prędko zjawily się troski i zmartwienia, choroby i nędza towarzyszyły jej przez całe życie. Wtedy biedna zasadziła ową roślinkę w swoim ogrodzie i przez niejedną noc świętojańską czatowała z czerwoną chustką jedwabną w ręku na rozkwit cudownego kwiatuszka — lecz nigdy nie zobaczyła tego cudu, nigdy nie przyszło do niej szczęście i nigdy — nie wróciła młodość. Owym korzonkiem jest paproć orlica, pleris aquilina, którego ukrytych kwiatów nigdy oko ludzkie nie zobaczy.

W nocy świętojańskiej dawno zapadłe miasta i zamki wychodzą na chwilkę z pod ziemi i dają znaki po sobie. Lud opowiada następującą baśń. Między Kamienicą szl. i Borucinem wznosi się wysoka góra, otoczona łąkami, przez które przepływa bystry strumyk. W dawnych czasach stał na tej górze zamek, w nim panował bardzo srogi pan, a okoliczni mieszkańcy byli mu poddani. Gdy ci nie płacili punktualnie dzierżawy i innych danin, nielitościwy pan zabierał im ostatni kawałek ziemi i całe ich mienie. W Borucinie żyła wówczas biedna wdowa z gromadą dzieci w wielkim niedostatku. Posiadała tylko jeszcze jedną krowę, karmicielkę jej dzieci. Gdy pewnego razu nie mogła uiścić swych zobowiązań wobec pana, ten kazał przez parobków zabrać jej krowę. Wtedy kobiecina, otulona w podarte łachmany, poszła na zamek i ze łzami prosiła o zwrot krowy, aby jej dzieci z głodu nie zginęły. Lecz okrutny pan nie znał miłosierdzia i kazał kobietę wyszczuć psami z podwórza. Biedna kobieta rozpaczliwie targała włosy, załamywała ręce nad głową i wołała: „Jeżeli moje dzieci mają umierać z głodu, to niech się te mury zapadną i mnie pogrzebią!“ Złorzeczenie wypowiedziało w złą godzinę. Niebawem okryło się niebo czarnymi chmurami, gęste błyskawice przesywały powietrze, straszliwy grzmot rozlegał się dokoła. Zawyły wichry, ziemia się zatrzęsła i zamek ze wszystkimi mieszkańcami i skarbami zapadł się w głąb góry. Dziś miejsce to pokrywa orna ziemia. W nocy świętojańskiej jednak, w go-

dzinie duchów, ukazuje się zamek na powierzchni, a jego pan chodzi wkoło niego, dźwiga ciężką skrzynię, zawierającą jego skarby i prosi przechodniów, aby mu je odebrali. Pewnego razu szedł sobie wieśniak drogą z Kamienicy szlach. do Borucina. Pan zamku zastąpił mu drogę i podając mu skrzynię z pieniędzmi, rzekł: „Weź te pieniądze i zanieś je do kościoła w Stężycy, a ksiądz niech je rozdzieli między wdowy i sieroty“. Wieśniak, oglądając się, zobaczył na górze wielki zamek z potężnymi murami i wieżami. Ogarnął go tak wielki strach, że zostawił skrzynię na drodze i co tchu uciekł do Borucina. Gdy potem inni, mniej bojaźliwi wieśniacy pobiegli na to miejsce, zjawisko znikło.

Jan Patock.

Zwyczaje żniwiarskie na Kaszubach.

1. Demony zbożowe.

Lud mniema, że cała natura wypełniona jest przyjaznymi i niebezpiecznymi demonami. Pod domowym kominem gospodarują miłutkie krasnoludki, na zamgłonych łąkach nimfy wyprawiają swoje harce, w lesie rzadko bywa bezpiecznie i spokojnie, na bagnach błędne ogniki wabią przechodniów i ściągają na dno. Nawet pola i drzewa mają swoje demony. Obecność ich wysłuchuje się z poszumu drzew, z szemrania źródeł, z poświstu wiatru, ze szmeru dojrzałych kłosów. Są one tajemnicze, jak szum, szemranie, gwiazdy i powiewy. Jeszcze w dzisiejszych czasach wierzenia te nie zniknęły zupełnie, lud wierzy w demony, które w zbożu siedzą. Gdy tylko leciutko wiatr zawieje i zboże faluje jak morze, Kaszuba mówi: „Wjilk nekô wowcë“. Nikt coprawda tego wilka nie widział, i ludzie nie mają nawet konkretnego o nim wyobrażenia, lecz jakoś wierzą, że tam być musi. Do dzieci, które bardzo chętnie biegają po życie i depczą zboże, by narwać modraków, mówi się: „Dzieci, nie idźcie do żyta, wilk w niem siedzi i was pożre!“ W innych okolicach jest to inny rodzaj zwierzęcia, które żyta strzeże i straszy dzieci. Pod Chojnicami mówi się: „Byk leci przez zboże“, — w Niemczech jest nim często siwek, w Turyngji dzik,

w Augustowie jeleń, w Holandji wściekły pies, jak również we Francji „le chien ragé“. Niezawsze zwierzę to jest postrachem dzieci. Na Kaszubach nawet straszy się leniwych i niezaradnych żniwiarzy takim nawoływaniem: „Naprzód, prędzej! Wilk siedzi ci na piętach“. Robotnikowi, którego przy częstem zginaniu się przy koszeniu krzyż boli, zwykle się mówi: „Byk ciebie uderzył“ — albo — „Kozieł ubodził“. Zbożowy wilk jest więc demonem w postaci zwierzęcia, strzegącego zboża przed urwisami i naganiającego robotników do pracy.

Lecz jeszcze inny demon harcuje w zbożu: jest nim pół-zwierzę, pół-człowiek. Kaszubi nazywają go „żėtnô mac“; w innych częściach Pomorza i Poznańskiego nazywa się go „babą“. Lecz o tym demonie ludzie mają już realniejsze wyobrażenie: „żėtnô mac“ mieszka w podziemnej norze, którą lud nazywa „piecem“. Tam pali się ogień, rozgrzewający piec. Ta żytnia matka jest niby niewieściego rodzaju, lecz ma dużą zabią głowę z oczami byka, z których buchają ogniste płomienie. Piersi jej są niebywale długie, tak, że może je przez ramię przerzucić. Jeździ zwykle na ogromnym wilku, trzymając w rękach widły. Dzieci, które spotka w życie, porywa do swojej norry, przedtem kładzie im do gardła swoje długie piersi i oczy smołą zalepia, w piecu ich smaży i pożera. Ta „żėtnô mac“ znana jest w każdej okolicy.

Jak „żėtnô mac“ jest postrachem dla dzieci, tak znowu „przėpołudnica“ — „przypołudnica“ jest postrachem dla dorosłych. Harcuje po polach i łąkach, gdyż nie siedzi, jak wilk albo „żėtnô mac“, stale tylko w życie, lecz wędruje z miejsca na miejsce. Jest nią brzydka baba niezwykłej postaci. W towarzystwie wilków i dzikich psów wędruje po polach w porze obiadowej, gdyż nie cierpi, gdy kto w porze obiadowej przebywa na polach. Jeżeli napotka dzieci, chwyta je i każe im wyczesywać sobie czarne jak smoła włosy, iskać wszy i je zjadać. Kosiarzy, kładących się na miedzy na południową drzemkę, potrafi zbić do tego stopnia, że przez cały dzień nie mogą się ruszać.

Na niektórych polach jednak „przypołudnica“ występuje w postaci pięknej dziewczicy, w białej sukni, opasa-

na złotym pasem. za którym tkwi sztylet. Pewien młodzieniec zauważył pewnego razu w zbożu palący się ogień. Gdy podszedł bliżej, zobaczył piękną dziewczynę, grożącą mu śmiercią, jeżeli nie rozwiąże zagadek, które mu zada, do 1-szej godziny. Więc pyta: „Co kwitnie bez kwiatu?” (Paproć).

„Co bieży bez powodu?” (Woda).

„Co śniegiem bieluchnym w skwarnem lecie leży?” (Piana wodna). Wtem na wieży kościelnej wybija godziną na 1-szą, dziewczica w tej chwili traci moc nad młodzieńcem i oddalając się, udziela mu jeszcze kilka mądrych rad na życie i miłowanie. Chłopców mniej ładnych zabija, pięknych trzyma w swojej niewoli.

Złe demony, dla których lud nie ma żadnej nazwy, są brzydkimi postaciami (Krósnjóczi — Koblode). Zatrzymują się pod dużymi kamieniami i na skrajach pól i łąk. Te specjalnie polują na malutkie dzieci, których matki, zajęte pracą w polu, zostawiają na skraju pola. Porywają je i na ich miejsce kładą w poduszki brzydkie postacie. I tak pewnego razu wzięła kobieta swoje małe dziecko z sobą na pole, poszła do pracy, a dziecko zostawiła na skraju pola. Gdy matka powracała wieczorem do domu, znalazła dziecko zupełnie zmienione. Ciągłe płakało i zupełnie się nie rozwijało, zato odznaczało się dużą głową. Licząc lat dziesięć, nie przewyższało wzrostem czteroletniego dziecka. Pewnego razu znów, gdy wieśniak powracał z pola z ciężko naładowanym wozem, zaczepił tylnym kołem o płot ogrodu. Daremnie kazał chłopom swoim wóz na drogę wyprowadzić. Sąsiedzi, którzy nadbiegli do pomocy, również daremnie się wysilali. Wtem przybiegł z pokoju z za pieca, gdzie zawsze wysiadywał, ułomny ów chłopak, podlaźł pod wóz, podźwignął ogromny ten ciężar i bez trudu zaniósł do szopy. Teraz zauważył wieśniak, że wychował „bękorta”. Wieczorem obnażył go i z całej siły okładał dużym kijem, wyrzucając następnie na śmietnisko. Następnego dnia w takim stanie znalazł chłopca swego na śmienisku.

Tak samo zamieniono dziecko pewnej wieśniaczki. Wychowała biedną istotę do dziesięciu lat, lecz ledwo chodzić, ledwo mówić się nauczyło, stale w kołysce leżąc. Pe-

wnego wieczora wyszła kobieta na podwórze, zastawiwszy poprzednio stół jedzeniem, by robotników zawołać na wieczerzę. Zdziwiła się jednak, powróciwszy do izby: jedzenia na stole nie było. Następnego dnia wieśniaczka powtórnie jedzenie na stół postawiła, sama wyszła na strych i przez dziurę przyglądała się, co się stanie: dziecko wyskoczyło z kołyski, w kilku minutach połknęło jedzenie dla dwunastu ludzi i znowu położyło się do kołyski. Poznała, że chowała „bękórta“. Zbiła je do krwi i wyrzuciła również na śmietnik, gdzie następnego dnia znalazła swoje prawdziwe, płaczące dziecko.

Jak z powyższego wynika, lud kaszubski zna cztery rodzaje demonów zbożowych. Postać zwierza ma wilk żytni, pół-zwierzę i pół-człowiek to „żętnô mac“, ludzką postać mają brzydkie i ładne „przypołudnice“, wreszcie dziwolągi są to demony, porywające dzieci. Wilk i „żętnô mac“ żyją w zbożu, ostatnie dwa rodzaje w polach i na skrajach lasu. Pierwsze są postrachem dla dzieci, ostatnie dla całego ludu.

A. Budzisz (Puck).

Mëmka szóns przindze.

Z vojnë bolszevjickji.

Trzôsk a vrzôsk vojenni bëł znjemjali a wucëchli, bjôtka bëła bjitô, kanónë mjilczalë, ropa pulvru bëła rozlecalô. Zaczëło so szukanje renjonëch, pochovanje zabjitëch. Straszne vëzdratkji bëdovalë so woczam. Jô szed na smëtôrz, dze pravje poległëch chovalë. Nje bëło dalëk do njesenjô, bo nôdëchtovnjé lezałë trupë na samim smëtôrz. V tórmę koscelną granôtë mjalë vjelgą dzurę vëdlëbané, plebanijô bëła przedzuravjonô, v jizbje ksëdza tkalo jednôsce kulów.

V tím pjëknim, dalëk zërnim koscele lezałë renjoni v tak gëstëch szëchtach, że le jak nôvostróznjë so mjidze njima przedërchac móg, abë żôdného njevupokojic. Njejedni zgrużdżëlë so v krzizgëkach koscoła, doch nôvjikszi dzël leził v kól wôltôrza a podzëralë do krziza. Gruze wôltôrza a organów bëłë vëvleklé, wokna potrzaskané, całi

dom Boží ze svojimi mieszkańcami běł machtné kozanje: — o'p'jta vszětce do mje, chtěrní va mozolní a wobcząžoni jesta, jô vaji skrzepję. — Jó, jó, vszětce běłë zrenjałi a wobcząžoni. —

Hevë ležíł żołnjérz z rozgrochotanim czaszkę, dregjemu plec běła wurvanô, won ležël v konanju. — V vjelgję plôhce jinaczé njeszło — spuscele sanitetrovje go v grôb, henë ležíł jeden nagji, a jeho załómané woczë mu njicht nje zacësnał, wone zdrzałë sztivno z głębjí cenji pod njebo, brakło vszětke: voda, słoma... Vedle tčch podrěszajęcch, a sérce rozedrzącęcch scenóv przėszed jô do wobraza Měmkji Boskjé. — Co za smutní vezdratk! Pod njim ležalo sztëka dwadzesce trupóv, njejedni z półópnema załómanema woczóma, chtěrně rěchtovane běła do Měmkji Sěna Božého, dręgji znô trzimalë koronkę a krziže v zesztivnjałčch pólcach, gvěsno z wozěblěma lěpóma do smjercë so modlělë z zdrokóma ful nôdzeje.

Słónce zachôdajęcë rzucëló svoje wostatné promë na pole, kjej jô ten môł žnjíva smjercë wopuscël. Na ržmje, dze baterejô stóva, stoerczëła zabëto vëcërka kanónë. Kole tého draĝu ležíł kanonira, woba golenja kula mu mja rozervanô, kamrôce mu torněstël jak zeglóvk podsěnele, krvavenje běłó vjelgje, wopatřenk nje běł vložoni. Won ležíł vezdratknje bez nómjeszého bolu, spokojnje przë ful przëtómnoscë. —

— Boli Vam cóz? — Njé, njíjak! —

— Jô Vas wopję bańdažę; može Vë môce do svojčch co do wobsztelovanjô? —

— Muszë jô wumrzéc? — vëpch won bolesnje.

— To gvës njé, ale Vë jesce częzko renjoni, a zichjer mdze dłuĝo varałó, jaž Vë svojich wuzdrzice! —

— Jô le mjeszkam pôrę mjil stąd, mëmka to grzemjenje kanonóv czëła, wona przíndze a mje sobę veznje! —

— Hevë z wokolęcë vszětke wucekłó.

Moja mëmka szóns przíndze, to jô gvës vjem. Wona mje vjedno pomogła, wona mje téz dzis nje wopuscí. —

— Procëm svë volë jô doch baro żorgalnę minę kozôł, bo won jëž róz pëtôł: — Muszë jô wumrzéc? —

— Vě tu barzeczko v zôkrecim ležice, lepjé bě bělo, kjej Vě bě běle v lazarět transportirovani, naszi lědze bě moglě Vas letko przewoczěc! —

— Boskô vola! Moja mēmka szóns przindze — rzek won ze słabim głose.

Won prosil wo wode, to peržne, co jô mjôl, bělo zbrėkované. Jô mu przėrzek, žebēm jile možnosć z vodą na zôd przėszed a ridovôl do blėzė vsė.

Zichjer pól godzėnė so mjineło, kjej jô nazôd przėszed. Ju wogarnėlė go cemné czade smjercė. Tukneło przez jeho całe cało, won vėcignął a rozdłėzil so a ležil bez rėchu. Žėce bělo wulecałe. Ale jėz rŃz wotemk won woczė, rėszalė so jeho blade lėpė, a jô zgjibajaci so nad njim, doczėl te sŃlwa: — Moja mēmka przindze. Bogji wusmjėch wosŃonjil jeho lėpė, ležil jak cėcŃk wuspjoni v klinje mēmki. Ten moment mje barzo zrėszil. Jak cenjŃ stojil ten sztocėk przed co rŃz to cemnjėszim njebė. JŃ wuklek a serdeczne modle za zmarłėho do trŃnu Boskjėho sŃlŃ.

Knapno jŃ nazŃd bėl zaszŃl do lazaretu polnėho, woždało mje stŃrė babsko v wubožėchnim, ale czėstėchnim klėdėnku. Wono wlekŃ wobszerni piŃdel, v chtėrnim pjerzėnė bėlė. Z krzėczonim głose povjŃdało, že przėszŃlo z jedni le kjile mjil odlegŃi vsė, že bėla gdova a so z cŃrką pranjim žėvjila. Jė sin bėl ve vojnje bolszevickji, tej ji bezpjek nje daŃ, wono so strachovaŃo, že sin renjoni bėl a ležil v lazarece. Wona z cŃrką že le jednā poscel mja, v chtėrni wobje vecmanji spaŃlė. CŃrka spŃvŃ že terazkė na sztrejji, a wona vzė poscel dlŃ chorėho sėna. Tak wona z pjerzenŃma a zegŃŃvkŃma v pŃŃchce zavinjonema na puklu przėszŃla, bėla ju na rŃznėch stacejŃnach, ale sėna nje trafjila, bo v svojim njebezpjeku zabėla akurŃtnā vjėdzė vėkuŃdovac, sostra Elžbiėtanka vnėdze njā so wopjekiva, a jė do nas przeprovadzėla. Tu wona mėslėla sėna nalezc a mu mjitkji domŃci lŃgjer poscelėc.

NalazŃla sėna — ale ju mjitko zascelonėho — kole vėcėrkji kanŃnė — v klinje zemji. ZgjetŃ a zrėszonŃ szŃla wona z pjerzenŃma dodŃm do cŃrkji na sŃlŃmjanim barŃogu.

H. Czernicki.

Sztërolystki.

11. Dwie moewe.

Moewa godano sę baro od moewë odróżnio pisany,
Boe chto godo, ten może i woekę i ręką dopoemoc,
Ale pisanech ju słów jak w marmurze rylcę wëkutëch,
Tëch nie zmieni wësyłk. Jak sę je dało, tak są.

12. Głupo gęs.

Gęs po woedze płëwając, kiěj uzdrza swoejigo wroga,
Strasznie sę złëkła i łep le głëbok w toni zanórzy.
Głupo të, głupo gęs! Bo wësok nogi stopérczą,
Za nie ce złapi lës, smaczny urządzi so żer.

13. Ród Judaszow.

Czë to je prowda, że Judosz sę w pewnym urodzył miesce?
Zdowo sę, że tak je, bo zdrada sę jego koscérzy,
Ród sę jego plemieni i dalszy ju woekrąg zalëwo.
Kiěj go nie weznie złë, cały on skazy doróbk.

14. Cno spółproca.

Chcołbë të zemną procowac? — To znaczy, miły paniczku?
Nen mu po cëchu rzek: Ko lëpic i krasc i urëwac,
Co le sę udo, sę chce. Ten odrzek i wase pocygo:
W taki roboece jaż rod udzoł mdę wiérny jo broł.

15. Dzyrsko, Gryfie!

Wëlecył Gryf, to chwała, i wësok dąży pod niebo,
Ale wrzosklëwy trój drzyszczącygo w błotku gadzënstwa
Drze sę, gulgoece i gdocze, jaż miło słëchac rozgwëru.
Płëni le, Gryfie, wżwyż, w błone nie sygo ich trzap!

Z vjerzenjô kaszëbskjého lëdu.

Njech njeboli mje — ale boli ce...

Zebrôł J. Trépczik.

Róz jednę bjałkę poczęłe baro zëbe bolec, że noce nji-
mogła spac. Przevrôca sę v pjerznach z jedného boku na
dregji — chca wusnac, ale njimogła te dokôzac. Zëbe jak
bolałe, tak bolałe. Bez całą noc jëcza ë skëcza — całą
dąsła bëlë jak v wognju. Jé sę tak zdôwało, jakbe żôłaci
wëgle chto donech dąstów przëklôdôł. Renechno, jak leno

sę vjidno zrobjiło, veskokła bjałka z vér. Zarzucela nase své ruchna ě vëbjegła z chëcze. Calechné dopôlnja czurpa wod jedné do dregji babe ze vse, cobe jé wulżele. Koždô z nech bôb jinaczé né bjałce z radą szle. Jedne przekłôdale zaczarované zela — drëgji zëbe zażegnivałe. Na njick jednak ne vszëtkji bełe kuńszta. Tak z vjôlgjim jiscenjim nazôt jidze dodóm, głosno téj sé svój jiver vepovjôdajac.

Vnim procem njé jidze dzirskjim krokjem młodi parobk, z palecã v rëku ě sztódentová czôpkã na głovje. Jak bëł krótko né bjałkji, czëje: „A mój Boże — Boże mój!“ Przëstanãł, a sę pitô bjałkji: — Co vami je że sę tak jiscice?

— A Boże jo — rzekła bjałka — mje tak zëbe bolã, że njevjem so njizódné rade. Bëła jem vszëdze a njicht mje njimoże pomoc. Može vë pańcu vjéce co na zëbów bolenjé?

Sztódent posłëchôł, jakôs mesel mu do głove muszela przinëc, bo sę wusmjôł ě rzek: — Zaresku vamô radę veszukã, le muszice v to mocko vjerezec bo takbe z te njick njebeło.

Vëjãł z pazeche notës, pomeslôł sztërk, a téj napjisôł na szteczku papjora po łaceznje: „Njeh njeboli mje — ale boli ce“. Vërvôł nę kartę, dôł bjałce ě rzek: — Bjéce teresku dodóm, a jak tam bëdzece, to przëložce ten papjôrk na zëbe ě móvce: — Njeh njeboli mje — ale boli ce, — tede woprzëstanã boleć.

Vzãł sę sztódent ě szed dalé. Po môłim sztóce wobezdrzôł sę za bjałkã ě wostôł stojãc. Njimóg sę od smjëchu strzëmac, a do se rzek: „To jem bjałcësko vëszekovôł, chtërno v gusła vjerzi“. V chteren czas potemu mjôł wo tim zabôczoni. A no zjivované bjałcësko jakle parg dom przëstãpjilo, vzëło sę nen papjôrk przëklôdac na zëbe a gôdało: „Njeh njeboli mje, ale boli ce“. Jakbe kam v wodę cësnał — zëbe woprzëstałë boleć.

* * *

Zbavjilo pjińcnôsce lat. Sztódent, wo chtërnim gôdka, je dzisô proboszczë na parafij. Zdôrzô sę, że jému téz zëbe poczële boleć. Czestô mëka. Jëzdzi wod jedného doktora do drëgjiho — a në zëbe jak bolã tak bolã. Lëdze jak no lëdze, vnetkę dostele vjédzã, że jegomosca zëbe baro bolã. Tak jidã na plebanję ě gôdajã, że na pustkach mjeszkô bjałka, co rozmjeje chorosc zëba velëkovac. Choc

tò ksac ledkjim gòdkom njedòvòl vjare, kòže ròvnaK nę
bjalkę dose dac wołac.

Kańęła stareszka v proboszcza jizbje, vëjimò papjòrk
zežòłkli, a chce go ksudzowi na gębę przëložec. Ksadz na
to vzérò a sę pitò bjalkji skądka ten papjòrk mò? Wona
zòs na to: — Kjile lat tému dosta jem go wod jedného
młodého parobka kjej mje baro zębe bolate. Jak jem ten
papjòrk przëložęła na zębë a rzekła: — Njeh njeboli mje
— ale boli ce, — tej zare woprzestale. Ksudz zbladnął jak
scana. Wzął nę kartę z ręku bjalkji ë rzek do njé: — Vjéce
vë wod kogu vë ten papjòrk móce? Won je wodmje. Jò
jem bëł tim parobkem co vami go dól. Z glëpote jem to
zrobjił, a vë v to wuvjerzele. Za to bëlebë jesme woboje
potëpjoni.

Vzął so ë porvòł nen papjòrk, cëskajac go v pjéck na
spòlenji a zębe go v tim samim sztërku woprzestale bolec.

Kjile słów starodòvnëch.

gard — gród
wogard — ogród
parpac — paproć
barda — broda
parg — próg
parmjiń — promień
karva — krowa
varna — wrona
vark — zawód
jari — roczny
elba — miła, luba
reńczik — kij pasterski
womolëce — pokryjomu
cerpjisko — cmentarz
kòc — stać (stawić się)
szczałba — łupina
skoma — tęsknota
dejò — duch, pojęcie
jista — istota
jesta — byt, jestestwo.

Zebròł L. Czajòszk.



Guczóv Mack gôdô:

Vitôjtaž! Chceme le so zazěc! Pjisôł jem vama wostatni rôz moje žécé v Varszavje, jak jem sě na harbatą wurznał, a poprôvdze jesz dzis tak chodzę, jak gęs napjitô. Ale va le nje vjéta co wona moze dopjérzě trzeciho dnja v nocě. Slechôjta le lédze, co mje sě po nji sniło:

Snjiło mje sě, že jem wumar, a svjěti Pjeter wotmikô kluczě (ten klucz vėzdržôł tak, jak Szmul z Nalevkóv a nos dlugij pasovôł decht pravje „v tę dzurkę zamkovą co běła tak vjelgô, jak Goljata bót) njebjeskji vrota ě gôdô do mje: „Pojle Macku, takjich jak tě, mě tu brėkujemě“. — Tak ma so ze svjětım Pjetrem nŏpjervi zažěta jesma, že won jaž kjichnał tak głośno, že ni vszětcě djôblě v pjekle wod strachu lincuchami zgrochotelě. „Jo — rzek Pjeter — taki jem jesz nje zaživôł; vjěz Macku, že dlô samého tvého roga tobacznego běłbės do njeba przėszed; ale povjadôže co nového tam z Kaszėb, to jem barzēcško czekavi“.

Rzek jem vszětko jak běło, a won le mje po remjeniu poklepôł ě rzek: „Kaszėbóv Pun Bóg njigde njewopusci, bo to lud wėbrani, a jistnjec mdze do kuńca svjata. Będzě gvės stów mojich Macku, a teru le so bjôj do krôjině njebjeskji, skądka szc ěslěvi zdrzec mozesz na wojczezną tvoją „Modrą Krôjinę“. — Szed jem wobzerac rôj njebjeskji ě szėkac Kaszėbóv, le jakos, že vszětcě docě vėsoł sedzelě, nŏmóg jem njizôdného dozdrzec. Poskrobôł jem sě po lėsé banji ě vėjał róg. Le skorom to zrobjił, tej jak na komeńdę poczělě sě vszětcě do mje cesnaç. Przėszed ksąžę Svjėtopôłk, Mestvin, przėszed Cėnova, przebjég ĩgôrz Derda, co to całé njebo fafkami zabôvjô ě jesz vjele jinszėch. Wonji zaživelě, chvôlělě tobakę, pjitelě sě vjele rzeczi ě vjele wopovjôdelě, a takô běła radosc, že ji anji jėžek nje napjiszę, ani rėka nje vėpovjė. Să tam v njebbe nŏrozmajitszė lėde, z nŏrozmajitszėch stron svjata. Vjidzôł jem Polôchóv ě Kaszėbóv, Frańcizóv i Afrikańczikóv, navėtka žedóv, jak Abrahama ě vjele jinszėch. Vjidzoł jem królôv ě Łazarzôv, baro moznėch ě decht bjėdnėch. Móg bė jem tidzenji wo tim pjisac jak tam je, ale va to doch vjéta, že „jako w njebbe, tak ě na zemji“.

Kjež mě sě tam ju docě nagôdėle, tej jem so szed kašk aparat, na wustronję, skądka jem móg dobrze vjidzec całé Kaszėbė. A bėłē wonē tak pjėknė, že mje sě poprôvdze zôł stało, bėc w njebbe. Meslôł jem nad tím, jakbė sě

tam nadół dostac, bo wšok to běło jak paraluž. Ale nògle mje przėsziło do głowě, że koždi njebieskji mjeszkańc móg sę zamjenjic v čo won chcól. Tak jem sę długo nje namiszłól, lem sę v pajika zamjenil, bě sę na włósno wusněté pajęczenje na dól spuscęc. Z raza to szło czesto dobrze, le wkrótce mje zafelało pajęczėnė. Tej jem tak vjisól na pajęczenje v wobłokach, majáci nogii, ręce i głowę na dól przez całe czas. Mjól jem wumjerzoni na Vježęcę, le žě przėszed vjater, co mje v dołě wunekól, běł jem bezradni. Ale nawostatku doběl jem vszětkji mocě, a tej jem węcšnał jész zacht kawał pajęczėnė, cobě sigło — ale žem przėtim pravje wodeck ě postržęg, co to za djabelnō pajęczėna běła

Gódam vama lėdze, że to gvės ta warszavskō harbata, co to trzecė nocě ve snje može vjicě, njižle liter ricnusu... Chcemě le so zažęc!

Z Kaszub i o Kaszubach.

— **Nadużywanie nazwy Kaszubów.** W ostatnich czasach mnożą się wypadki, że w celach partyjno-politycznych nadużywa się nazwy Kaszubów, by w ten sposób słowem tem w nieświadomej spraw pomorsko-kaszubskich części społeczeństwa polskiego wzbudzić pewne dla siebie sugestje. Operuje się tym wyrazem jak pustem hasłem-frazesem.

Jesteśmy pismem apolitycznem i dlatego nie chcemy wymieniać faktów konkretnych, wystarczy powiedzieć, że są to najczęściej te żywioty, które zasadniczo nie uznawają ani odrębności charakteru kaszubskiego, ani wogóle nazwy Kaszubów.

Przeciw tego rodzaju praktyce wyrażamy na tem miejscu jak naj-energiczniejszy sprzeciw.

Ziemia kaszubska jest coprawda wskutek wysuniętego położenia godna troski i uwagi powołanych ku temu czynników oraz całego myślącego społeczeństwa — ale ziemia ta nie potrzebuje mańpiej miłości niepowołanych, którzy właśnie wówczas najbardziej troskają się o nas, kiedy ich najmniej potrzeba, a kiedy mają przyłożyć rękę do dzieła, to ich niema lub pienia się ze złości konkurencyjno-partjotycznej.

Ludność kaszubska, jako równouprawniona część ludności całej Polski sama potrafi się zastąpić tam, gdzie potrzeba, i gardzi po żydowsku narzucającymi się adwokatami.

Gorzej jeszcze się dzieje, że ci sami fałszywi obrońcy przy różnych sposobnościach rozmyślnie pomijają prawdziwych przedstawicieli Kaszubów, świadomych swego charakteru i spraw kaszubskich, a wysuwają albo siebie samych, albo dla zewnętrznej przyzwoitości osoby, nic nie mające wspólnego z Kaszubami, a nawet Kaszubom wyraźnie wrogie. Cel partyjny i samolubny takiej gry zwykle dobrze jest ukryty i dopiero później wychodzi sztydło z worka, gdy rzecz jest ubita.

Ludność kaszubska wyprasza sobie zatem, by jakiegokolwiek instytucje, związki, pisma, partja lub poszczególne osoby po faryzeuszowsku określały pewien odłam społeczeństwa pomorskiego jako kaszubski dla prywaty lub

w cenach partyjnych. Inaczej zaczniemy je demaskować w poszczególnych konkretnych wypadkach.

— **Potworną i głupią napaść na Kaszubów** spotykamy w nowowychodzącem piśmie polskiem, warszawskim „Przeglądzie Krajoznawczym“ pod red. p. Grzybowskiego. Mowa tam o Wejherowie, że społeczeństwo miejscowe, wychowane w obcej kulturze, opornie przyjmuje kulturę polską, a nadto „mało jest uspołecznione, niewyrobione, chwiejne pod względem narodowym, etycznie niezbyt wysoko stojące“ i t. d.

Za bezdenne głupie te słowa, które chciałyby się zpowrotem w cuchnące usta wtłoczyć, najlepiej pogardą się odplącić. — Niestety nie można zeszytu tego w księgarni nabyć, może wydawców wstyd??!

— **Kaszubi murem obronnym Polski.** W Domatówku w powiecie morskim zebrani na wiecu Kaszubi powzięli rezolucję: My, obywatele gminy Domatówko, Polacy-Kaszubi, wierni naszej najdroższej Ojczyźnie, Rzeczypospolitej Polskiej, nie pozwolimy na żadne próby naruszenia czemkolwiek całości naszych praw lub granic przez zachodniego sąsiada.

W stosunku do wolnego miasta Gdańska wyrażamy bezwzględny bojkot gospodarczy w odpowiedzi na narzuconą nam walkę przez gniazdo hitlerowców, które tam znalazło swój przytułek, obrażając uczucia narodu polskiego.

Wara od morza, bo nad morskim brzegiem,

Wierna Narodu Kaszub czuwa straż —

I dziejów losem i przeznaczeń biegiem:

Bałyk był polski, jest i będzie nasz!

— **Wystawa malarska w Gdyni.** Pod protektoratem p. wojewody pomorskiego, Kirtiklisa, otwarła Pomorska Szkoła Sztuk Pięknych w Grudziądzu 3 lipca rb. w Gdyni wystawę malarską pod znakiem kaszubszczyzny.

— **Muzeum regionalne w Tucholi.** Magistrat miasta Tucholi rozpoczyna budowę wielkiego gmachu, w którym mieścić się będzie muzeum regionalne, Borów Tucholskich. Zbożnemu dziełu posyłamy najszczerze „Szczęść Boże“ a życzyć należy, żeby i inne miasta Pomorza poszły w ślady kulturalnej Tucholi.

Nakładem Spółdz. Wydawniczej z o. p. „Gryf“ Kartuzy, Wzgórze Wolności 5a, Komitet redakcyjny: Dr. Aleksander Majkowski w Kartuzach, dr. Władysław Pniewski w Gdańsku, ul. Am weissen Turm 1, Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4.

Za redakcję odpowiesz.: Stanisław Brzęczkowski w Gdańsku, ul. Olivaer Tor 3-4. Przedpłata wynosi rocznie 3.50 zł. — półrocznie 2 zł. — kwartalnie 1 zł. — pojedynczy numer 35 groszy.

Cena ogłoszeń: cała strona 120 zł. 1/2 str. 60 zł., 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł.

Konto P. K. O. 200431.

Ogłaszajcie się w „Gryfie Kaszubskim“, znanym w każdej chacie pomorskiej

Czcionkami drukarni „Gazety Kartuskiej“ w Kartuzach.